Nr. 44. Kraków, wtorek, 24. lutego 1903. Rok II.

KURYER KRAKOWSKI

Przedplata wynosi:
w Krakowie miesięcznie 1 korona
kwartalnie 3 „
na prowincyi miesięcznie 1 k. 40 h.
kwartalnie 4 k.

Ilustrowane pismo codzienne dla wszystkich.

Numer pojedyńczy 8 ct.
Ogłoszenia po 20 hal. za wiersz petitowy.

„Kuryer“ wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych o godzinie 2 popołudniu.

Adres Wydawnictwa:
Kraków, ul. Karmelicka l. 7. — Nr. Telefonu 494.

Redaktor:
KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ.

— „Wus ist?“ — „A łycytacye!“...



(Opis wewnątrz numeru, str. 7).

Odpowiedź Hoffmanowi.

Podaliśmy w numerze sobotnim bezczelny list jakiegoś Hoffmana z Gatczyny umieszczony w „Nowoje Wremia". Po bliższem przyjrzeniu mu się nabraliśmy przekonania, że przytaczający ów list p. Sigma (Syromiatnikow) feljetonista „N. Wremieni" sam prawdopodobnie jest jego autorem, trudno bowiem przypuścić, aby Niemiec, przebywający stale w Rosyi śmiał pisać podobne impertynencye społeczeństwu rosyjskiemu.

Czy zresztą list ten jest autentyczny, czy też skomponował go sam Sigma dla ośmieszenia Niemców, nie zmienia to jednej rzeczy, a mianowicie, iż p. Sigma „słowianin" polemizując z Hoffmanem, ani jednem słowem nie odparł nikczemnych obelg, skierowanych w liście przeciw Polakom. Można przypuścić, że „ulżył sobie", komponując ten list, aby jednocześnie Niemców wykpić a Polakom... naurągać.

To też jest w porządku, że ugodowy „Kuryer Polski", podając list Hoffmana w całości, dodał od siebie, że Sigma w odpowiedzi „szydzi z Niemców", a zapomniał o tem, że w tem szydzeniu rosyjski fejletonista pominął zupełnie obelgi skierowane przeciw naszemu narodowi. Czytelnik „Kuryera Polskiego" oburzy się naturalnie na Niemców, a jednocześnie poweźmie fałszywe przekonanie, iż „Nowoje Wremia" wzięło nas w obronę.

Stara to metoda „ugodowców": wyciągać z pism rosyjskich tylko to, co wygląda na sympatye rosyjskie.

Ale znalazła się i obrona nasza w pismach rosyjskich. Przeciw mniemanemu Hoffmanowi wystąpił ostro p. Taburno w dzienniku „Znamia". Wierzy on najzupełniej w istnienie Hoffmana, gromi go za bezczelność a nareszcie pisze:

„Jeżeli my Słowianie spieramy się i kłócimy między sobą, to jest to nasza sprawa rodzinna, do której mięszać się nie powinni żadni Hoffmanowie, czy to mieszkający w Rosyi, czy też poza jej granicami. Dosyć oni nas już nabuntowali i najudzili wzajemnie, ażeby módz w czasie kłótni załatwiać swoje brudne sprawki; pora już, ażebyście zrozumieli, że czasy te już się skończyły i że Słowianie nabrali świadomości, iż od was nie mogą się spodziewać niczego dobrego, że siła ich leży w nich samych i jeżeli nie w politycznem to w duchowem ich zespoleniu. Musimy wypowiedzieć otwarcie, że tam, gdzie uciskany będzie słowianin, tam, kimkolwiekby on był, my wszyscy Słowianie będziemy!

Ba! p. Taburno daje nauczkę i „N. Wremieni" zato, że ani słówkiem nie dotknęło zarzutów Hoffmana, że zamilczała w odpowiedzi, iż ten „kulturtager" zniesławia słowiańskie plemię Polaków, nazywając ich hołotą, przeklętem plemieniem i t. p. przezwiskami".

„Niechże on — kończy p. Taburno — wie dobrze, że na czele Rosyi stoją Rosyanie, kochający Rosyę, jak również Polaków i innych Słowian, i że wszystkie artykuły w „Now. Wrem." i w innych dziennikach rosyjskich, pisane w obronie Polaków, w duchu pojednania i miłości dla nich, nie tylko nie spotykają się u Rosyan z naganą, lecz owszem, z pochwałą i zachętą".

Prawda, że to brzmi bardzo ładnie. Tylko kochany panie Taburno, jeżeli wszyscy Słowianie będą tam, gdzie będzie uciskany słowianin, kimkolwiekby on był, jeżeli Rosyanie kochają Polaków — czemuż ci kochani Słowianie i Rosyanie milczą na straszny ucisk Polaków w Rosyi?

To jedno. A druga uwaga: pan Taburno nie jest rosyaninem lecz serbem. A więc nie rosyanin lecz serb przemówił w naszej obronie. To grubo zmienia postać rzeczy, boć chyba nikt nie upoważnił serba przemawiać w imieniu Rosyan.

Oporni.

W archiwum naszych ugodowców powinny się znajdować czysto rządowe i urzędowe sprawozdania o położeniu prawosławia na Podlasiu, czyli o unitach, ogłaszane w „Prawitielstwiennym Wiestniku" („Dziennik rządowy"). Oto wyjątek z najnowszego sprawozdania Synodu:

„W szczególnych warunkach znajduje się kościół prawosławny na oddalonych kresach naszej ojczyzny, zmuszony nie tylko utwierdzać i rozwijać zasady wyznania prawosławnego i narodowości rosyjskiej, lecz i bronić ich od szkodliwych wpływów obcej i innowierczej propagandy, licząc się jednocześnie z odrębnościami narodowemi ludności miejscowej. Tam kościół prawosławny występuje przeważnie w roli „wojującej", na straży dogmatów prawosławia i sprawy rosyjskiej. W takiem położeniu znajduje się prawosławie na Kaukazie, w Królestwie Polskiem, w krajach zachodnich i nadbałtyckich, oraz w Finlandyi.

„Prawosławni dyecezyi chełmsko-warszawskiej stanowią około 456.329 osób płci obojej i są pod względem religijnym w warunkach niepomyślnych skutkiem tego, iż w kraju tym, prócz katolików, żyje wielu ewangelików, wyznawców różnych sekt zachodnio-europejskich, wreszcie żydów. Szkodliwy wpływ takiego składu wyznaniowego dyecezyi na rosyan prawosławnych znajduje potwierdzenie w tem zjawisku charakterystycznem, iż w miejscowościach, gdzie z powodu małej liczebności mieszkańców prawosławnych, niema świątyń prawosławnych, rosyanie w święta chodzą na nabożeństwo do kościoła i powoli ostygają w swej wierze ojczystej. W aktach zarządu dyecezyalnego można znaleść fakty przejścia na wiarę katolicką, ewangelicką, a nawet żydowską tych prawosławnych, którzy przez długi czas żyli wyłącznie wśród innowierców.

„Jedyną w swoim rodzaju osobliwość kraju pod względem religijnym stanowią t. zw. „oporni", dawni greko-unici, którzy, po dokonanem w r. 1875 masowem przyłączeniu się unitów miejscowych do prawosławia, przez upór swój, nie chcieli pójść za powszechnym prądem swych współwyznawców. Ogólna liczba byłych greko-unitów, żyjących dotychczas w odszczepieństwie od świętej cerkwi, wynosiła w 1899 r. 81.246 ludzi, a ilość wahających się dochodziła do 6.749 ludzi. Szczególnie silnem przywiązaniem do katolicyzmu odznaczają się byli greko-unici gub. siedleckiej i suwalskiej, gdy w gub. lubelskiej odszczepieńców jest znacznie mniej: na 22.500 prawosławnych naliczyć można zaledwie 9.287 opornych i 874 wahających się. Liczba opornych nieochrzczonych, licząc z małoletnimi, doszła w 1899 r. do 29.235 ludzi.

DZIWNE PRZYGODY DAWIDA BALFOUR'A.

Przez

L. STEVENSONA.

(3)

— Niewłaściwe tu miejsce do objaśnień— zawołałem rozdrażniony.

— Możesz położyć pismo na progu pod drzwiami i odejść.

— Nie zrobię tego — odparłem. — List wręczę panu Balfour'owi osobiście, jak mi polecono i sam mu się przedstawię.

— A któż ty jesteś — dowiadywano się po chwili.

— Nie wstydzę się mego nazwiska: jestem Dawid Balfour.

Oświadczenie moje wywołało silny dreszcz u badającego mnie człowieka, gdyż słyszałem kilkakrotne uderzenie lufy pistoletu o framugę okna. Po długiej przerwie nieznajomy zapytał dziwnie zmienionym głosem:

— Czy umarł twój ojciec?

Na to pytanie oniemiałem ze zdumienia; spoglądałem w górę osłupiałym wzrokiem.

— No — ciągnął dalej — umrzeć musiał niewątpliwie i dlatego kołaczesz do drzwi moich. Czekaj — dodał po dłuższem milczeniu — wpuszczę cię do środka — i zniknął z okna bezwłocznie.

III.

Zabieram z wujem znajomość.

Rozległ się brzęk spuszczanych łańcuchów, odsuwanych rygli, drzwi uchylono ostrożnie i przymknięto za mną spiesznie.

— Idź do kuchni, a nic tam nie ruszaj — odezwał się głos nieznajomego i podczas, gdy zajęty był zamykaniem na klucz zamków, ja udałem się, gdzie mi wskazano.

Ogień palił się tam jasno, oświecając tak pustą izbę, jakiej jeszcze nie widziałem w życiu; na półce było z pół tuzina talerzy, a wieczerza, zastawiona na stole, składała się z miski kartofli i kubka cienkiego piwa. Po za tem żadnego innego umeblowania w ponurym, sklepionym pokoju.

Skończywszy zakładać łańcuchy, gospodarz wszedł do kuchni. Był to zgarbiony, wątłej budowy ciała, z twarzą żółtawą mężczyzna, wieku nieokreślonego, między pięćdziesiątym a siedmdziesiątym rokiem.

Na głowie miał szlafmycę flanelową i z tegoż materyału szlafrok, który, zamiast surduta i kamizelki, nosił na podartej koszuli. Brody jego dawno widać nie dotknęła brzytwa, ale co mnie najwięcej raziło i onieśmielało to to, że, nie odwracając oczu odemnie, nie patrzył mi prosto w oczy. Czem był z urodzenia i profesyi, tego domyśleć się nie mogłem. Wyglądał jak stary sługa na łaskawym chlebie, któremu za nędzne wynagrodzenie poruczono dozór nad opuszczonym domem.

— Jesteś głodny? — zapytał i patrząc nie wyżej, jak na kolana moje, rzekł — możesz zjeść trochę kartofli.

Odpowiedziałem, że nie chciałbym pozbawić go wieczerzy.

— Łatwo się bez niej obejdę — zapewniał — wypiję tylko piwo; ono łagodzi mój kaszel.

Wypił pół kubka, nie spuszczając ze mnie oka, nagle wyciągnął rękę, mówiąc:

— Daj list.

Oświadczyłem, że list jest dla pana Balfour'a, nie dla niego.

— Za kogo mnie bierzesz? — zawołał — oddaj mi list Aleksandra.

— Znasz imię mego ojca?

— Byłoby dziwnem, gdybym nie znał imienia mego rodzonego brata — odparł — jakkolwiek widzę, że ci się nie podobają ani ja, ani mój dom, ani moje kartofle, niemniej jestem twoim rodzonym stryjem Dawidzie, a ty moim synowcem. Zatem dawaj

a żyjących w związkach nieprawych — 10.737 par.

„Główną przyczyną wyżej opisanego smutnego położenia b. unitów dyecezyi chełmsko-warszawskiej jest łacińsko-polska propaganda, która oplotła opornych mocnemi sieciami i podtrzymuje w nich wrogie usposobienie względem prawosławia". „Pierwszymi jej kierownikami — według sprawozdania — są księża zarówno miejscowi, jak i zagraniczni. W październiku 1899 r. jeden z księży, swobodnie, bez żadnej obawy, odwiedził opornych w parafiach okręgu włodawskiego i dawał śluby, chrzcił i udzielał chorym ostatnich Sakramentów. Inny ksiądz, rodem z gub. siedleckiej, ale mieszkający w Rzymie, zajmował się propagandą wśród opornych w powiecie bialskim. Przysyłał on do nich specyalne odezwy, zowiąc ich „braćmi-unitami", pisywał do nich częste listy, zalecając wytrwale stać przy swej wierze i zapisywać się do bractw kościelnych. Zawdzięczając propagandzie tego księdza, we wszystkich parafiach I dekanatu bialskiego pojawiły się tajne bractwa katolickie Serca Jezusowego, do których zapisują się oporni. Rzeczone bractwa dzielą się na kilka zgromadzeń: są zgromadzenia męskie, żeńskie, oddzielne dla dziewcząt, a osobne dla dzieci, czyli t. zw. „anielskie".

„Wynajdując środki duchowo-moralnego oddziaływania na opornych, miejscowa zwierzchność dyecezyalna troszczy się o możliwie okazałe nabożeństwa w przyłączonych cerkwiach, osobliwie w święta cerkiewne, w klasztorach i tych cerkwiach parafialnych, w których znajdują się czczone przez lud świętości, o urządzanie procesyi, o podtrzymanie wśród ludu świętego obrządku spowiedzi i komunikowania, o wszczepianie w lud prawd wiary prawosławnej za pomocą kazań w świątyniach, o oświecanie go drogą nauk poza nabożeństwami, wreszcie o zakładanie szkół cerkiewnych. Szczególnie owocny wpływ na przyłączonych wywierają szkoły cerkiewne, przyczyniające się do wykorzenienia ciemnoty wśród ludu".

Nie potrzebujemy chyba naszych Czytelników objaśniać, ile w tem przedstawieniu rzeczy jest nikczemnego kłamstwa. Po rzeziach, knutach, kołowaniach, wysyłkach, część ludności unickiej przeszła pozornie w r. 1875 na prawosławie — słabsi ulegli, albo boją się — silniejsi walczą za swą świętą wiarę. Wszystkie cyfry podane są naturalnie równie fałszywe, jak i rozumowanie Synodu. Prawdą jest tylko, że ludność skrycie wyznaje unię i że prawosławie wysila się na wszelkie środki więc i na zewnętrzną „pompę", aby zgnębić ducha unickiego.

Powódź w Szczucinie.

Jakób Bojko tak opisuje w „Kuryerze lwowskim" powódź w Szczucinie: Zwiedziwszy miejsce strasznej katastrofy, cóż mam pisać. Chyba zaznaczyć, że opisy naszych dzienników, nie tylko, że grozy położenia biednego ludu nie przesadzają, ale nawet są za blade.

Piękna nasza Wiselka, o której śpiewamy, że „stu rzekami wzdęta", rozhulała się, jak za dawnych czasów tego u niej nie było i lud tonący w jej nurtach, ma chyba słuszny żal do niej.

Rozmarkociła się Wisła — a cóżby się nie zgniewała, kiedy lody straszne zakryły jej zwierciadło od 20 listopada, i nie dały się jej przejrzeć ani słońcu, ani blademu księżycowi, a ona tak nawykła do wolności.

Jej obraz powyżej skreślony, to obraz ludów, gdy po długiej niewoli zrywają pęta... Kogo winić za tę klęskę, czy starostwo tutejsze, czy wyższe władze, trudno powiedzieć.

Powszechnie atoli twierdzą, że głównym powodem klęski Szczucina, był zator pod Siedliszowicami, który spać nie dawał nadbrzeżnym mieszkańcom, a osobliwie pp. Kalksteinowi z Siedliszowic, i Błażowskiemu z okręgu. Ci pełnomocnicy narobili alarmu w swoim czasie do władz, i na to zjechał pan starosta Czepielewski z Dąbrowy, a wezwani przezeń inżynierowie z Tarnowa uspokoili starostę, że woda da radę zatorowi.

Tymczasem zima nieprzewidziana mroziła Wisłę drugi raz — a gdy lody ruszyły, utworzył się zator i pod Szczucinem.

Już 10 bm. widziano na Dunajca fali, płynące szczęty domów, skrzynki łóżka i kolebkę. Były to skutki powodzi w Sromowcach. Brakowało na szczęście dziecka w kołysce — a byłoby już całkiem tak, jak Górecki w swym przecudnym poemacie o Wiśle śpiewa: „I na twojej fali, nieraz niemowlę w kołysce się żali".

Niebezpieczeństwo pod Ujściem jezuickiem było wielkie, ale pan Jezusik miłosierny dał, że w nocy, z strasznym szumem, lody ruszyły dalej, na większy zgryz — pewnej osoby, która prowokowała Gręboszowianom wnet straszną klęskę.

Lody te oparły się o zator pod Szczucinem i naturalnie zatamowały całe koryto rzeki. Wały Kazimierzowskie dzielnie stawiały opór rozszalałemu żywiołowi. Zacny król chłopów w popiół się rozsypał w krakowskiej katedrze, a dzieło jego dotąd oddaje usługi polskiej ludności, i świadczy o rozumie i wielkiej miłości dla narodu, który powodzie zawsze prawie przyprawiały o śmierć głodową.

Cześć ci i wieczny pokój wielki królu...

Jednak Wisła nie bała się i wałów. Przerwała najprzód starodawne, a potem łatwiej jej było nowe rozszarpać, zatopić tyle wiosek i przyprowadzić je do nędzy nie do opisania.

Starosta tutejszy z prawdziwem poświęceniem dzień i noc kieruje akcyą ratunkową i stale tu mieszka.

Pionierzy mają utrudniony ratunek, bo wody na polach zamarzły, a zatem i pontony zamroziło. Wiatr dmie od Wisły przeraźliwie i nie sposób wytrzymać długo na wale. Pionierzy i biedne żandarmiska skulone, krzątają się daremnie, oczekując pory cieplejszej.

Ludowina w niemem milczeniu wyziera z zalanych domów, do których z trudem dobijają się łodziami pionierzy z żandarmami, by im podać pożywienie. Powszechnie podnoszą gorliwość komendanta żandarmeryi z Dąbrowy, p. Hornbergera i Schönthalera. Z okolicznych wsi, wójcia przywożą chleb i grosiwo, a po kościołach księża wybierają składki. Rada powiatowa i Kasa zaliczkowa uchwaliły dosyć znaczną pomoc, a okoliczne dwory też z ratunkiem spieszą.

Namiestnictwo nie zostało w tyle, ale apelujemy do namiestnika, o większą jeszcze zaliczkę, bo to wszystko jest kroplą w morzu. Lód na gruntach będzie leżał aż do stopnienia, a ziemniaki, pasza dla bydła w stodołach i zasiewy przepadły z kretesem.

A zator na Wiśle stoi niby straszliwe

---

mi list, a sam siadaj i głód swój zaspokój; tem, co na stole.

Gdybym był parę lat młodszy, sądzę, że z powodu doznanego zawodu byłbym wybuchnął głośnym płaczem, teraz jednak słowa zamarły mi na ustach, podałem mu list w milczeniu i usiadłszy przed stołem, zacząłem jeść niechętnie owe przeznaczone mi kartofle.

Stryj tymczasem stanął przed ogniem, obracając list na wszystkie strony.

— Czy wiesz, co tam jest napisane we środku?

— Widzisz pan przecież — zaprzeczyłem — że pieczęć nienaruszona.

— A cóż cię tu sprowadza?

— Potrzeba wręczenia panu listu.

— No, łudziłeś się pewno jakąś nadzieją? — pytał podejrzliwie.

— Przyznaję — odparłem — że dowiedziawszy się, iż mam zamożną rodzinę, ufałem, że ona zechce mi dopomódz. Nie jestem wszelako żebrakiem; nie żądam żadnych datków z pańskiej ręki. Jakkolwiek mogę mieć pozór ubogiego człowieka, posiadam przyjaciół, którzy dopomogą mi z ochotą.

— Jesteś krewkim, jak widzę — zauważył stryj Ebenezer — ale porozumiemy się wprędce. — Dawidzie, mój chłopcze, jeśli jesteś syty, z reszty kartofli zrobię sobie zupę. Tak — dodał, zająwszy moje miejsce i odebrawszy łyżkę rogową i kartofle — to doskonałe, wyśmienite jedzenie. — Wyszeptał parę słów modlitwy i ciągnął dalej. — Twój ojciec do jedzenia przywiązywał wielką wagę, był smakoszem, jeśli nie żarłokiem. Co do mnie, ja zawsze ledwo dotykałem strawy. — Pociągnął łyk piwa i to zapewne przypomniało mu obowiązki gościnności. — Jeśli ci się pić chce — dorzucił — znajdziesz wodę za drzwiami w sieni.

Nic na to nie odpowiedziałem; stałem sztywnie wyprostowany i spoglądałem gniewnie na stryja. On jadł jak człowiek, któremu się spieszy, rzucając z pod oka wejrzenia na moje trzewiki i pończochy. Raz tylko, gdy wzrok podniósł wyżej, spotkały się nasze wejrzenia, a w oczach złodzieja, złapanego na gorącym uczynku, nie mogłoby się malować więcej przerażenia, jak w oczach stryja. To nasunęło mi uwagę, że dziwne zachowanie się Balfour'a pochodziło może z nieśmiałości i odwyknięcia od towarzystwa ludzkiego, że po bliższem poznaniu widziałbym go w lepszem świetle. Z tych marzeń zbudził mnie ostry głos gospodarza:

— Czy dawno umarł twój ojciec?

— Przed trzema tygodniami — odparłem.

— Aleksander był zamkniętym w sobie, milczącym człowiekiem — dowodził. — Gdy był młodym, nigdy nie obgadywał nikogo. Zapewne i przed tobą źle o mnie nie mówił?

— Nie wiedziałem nawet, dopóki mi pan sam tego nie powiedział, że mój ojciec miał brata.

— Proszę, proszę! — dziwił się Ebenezer.

— Nie wspomniał ci także o Gajach?

— Nie wymienił nazwiska tej miejscowości — odparłem.

— Czy podobna? — zawołał stryj.

Zdawał mi się zupełnie zadowolony, ale czy z siebie, czy ze mnie, czy z postępowania mego ojca, tego odgadnąć nie mogłem. Sądzić było można, że przezwyciężył niechęć, okazywaną mi w pierwszej chwili, bo przeszedłszy się parę razy po kuchni, poklepał mnie po ramieniu i rzekł:

— Porozumiemy się, porozumiemy łatwo; rad jestem, że cię wpuściłem do domu, a teraz idź spać.

Ku wielkiemu zdziwieniu memu nie zapalił lampy, ani świecy, poprowadził mnie schodami po ciemku, otworzył drzwi i kazał wejść, mówiąc, że to mój pokój. Prosiłem o świecę, abym mógł trafić do łóżka.

— Na co? — zawołał stryj Ebenezer — przecież księżyc świeci jasno.

(Ciąg dalszy nastąpi).

góry lodowate i ani mu się śni, żeby ruszył. I jeżeli taka woda, jaka była równo z wałami, nie dała mu rady, to niewiedzieć, czy pionierzy co temu poradzą.

A gdy spojrzeć za Wisłę, jak oko sięga, widzisz tylko jednę taflę lodu, z pośród której wyzierają domy naszych biednych braci. Czy mają choć taką pomoc jak nasi, czy im rząd rosyjski poda rękę..., bardzo wątpię, bo nawet z tej strony pionierów wołają tam do siebie na ratunek.

Boże! Pociesz tych biedaków, ale niech też władze ratują co sił, bo takiej klęski dawno kraj nie miał.

Ziemie polskie.

— Ze źródła dobrze poinformowanego odbiera „Dziennik Poznański" wiadomość, że naczelnym prezesem W. Ks. Poznańskiego będzie były nadradca prezydyalny, a dzisiejszy starosta krajowy Poznański p. dr. Dziembowski, którego nazwisko wskazuje, że pochodzi z rodziny renegatów i jest też znanym hakatystą.

Nominacya jego ma jednakże dopiero nastąpić po zamknięciu zwołanego na dzień 1-go marca b. r. sejmu prowincyonalnego.

Wstrzymując się zresztą od uwag wszelkich, uważamy wiadomość tę za tak samo prawdopodobną jak inne, które głoszą, że rząd naczelnego prezesa obejmie albo p. Heydebrand von der Laza, albo obecny prezes rejencyi Crahmer. Nawet Wittinga wymieniają. Jeden lepszy od drugiego — jest w czem wybierać.

— W tych dniach wywieziono z Warszawy i odstawiono jako poddaną pruską do granicy w Aleksandrowie, pod strażą żandarmów, pannę Sempołowską, która przez dłuższy czas była nauczycielką w Warszawie, jako podejrzaną o działalność na rzecz oświaty dla ludu.

Panna Sempołowska, autorka paru podręczników do nauki języka polskiego, cieszyła się uznaniem szerokich kół warszawskich jako wybitna pracownica społeczna.

KRONIKA.

Kraków, 23 lutego.

Kalendarzyk. Dziś Romana i Florentyny. Jutro Macieja ap. Pojutrze *Popielec*. Zygfryda.

Dziś o godz. 8 rano + 2·5° C.

Repertoar teatru miejskiego w Krakowie.

W poniedziałek „Żołnierz królowej Madagaskaru".

We wtorek „Trójka hultajska".

W środę „Balladyna". (Ceny zniżone).

W czwartek i piątek teatr zamknięty.

W sobotę „Wyzwolenie", dramat w 3 akt. St. Wyspiańskiego (nowość).

W niedzielę o godz. 3 po poł. „Panna służąca". Wieczorem o godz. 7 „Wyzwolenie".

W poniedziałek koncert Józefa Hofmana.

Jubileusz Leona XIII. Dzwony wszystkich kościołów z Zygmuntem na czele, dały onegdaj znać pobożnym mieszkańcom Krakowa, że w tym dniu przypada 25 rocznica rządów apostolskich Leona XIII. Równocześnie odprawiono na upamiętnienie tej rocznicy, oraz na pomyślność Ojca Kościoła — uroczyste nabożeństwa.

Z niedzieli. Atmosfera prawie wiosenna, taka ciepło-wilgotna, smutkiem napoiła amatorów ślizgawki, ponieważ kazała im pocieszać się nadzieją lepszej przyszłości, jeśli nie w tym sezonie, to w następnym roku. Suche przez dzionek cały chodniki nad wieczorem pokryły się wilgocią „dzięki" drobnemu deszczykowi, który, zrazu drobny, nocą przemienił się w ulewę „przyzwoitej" jakości. Tak przedstawiała się na punkcie aury ubiegła niedziela. Z życia towarzyskiego była ona kubek w kubek podobną do poprzedniej: więc roiły się linie A-B i C-D od „spacerowiczów" i „spacerowiczek", które odwiecznym zwyczajem „puszczały oko" pod rozmaitymi adresami Kaziów, Władków, Olków, i tym podobnych imion, jakie ozdabiają figury płci męskiej; więc w teatrze ludowym po raz, niewiadomo już który, karmiono publiczność „Dyablem w zalotach" i „Królową przedmieścia" z tą tylko zmianą, że w ostatniej sztuce rolę tytułową zagrała p. Hartmanówna z teatru poznańskiego — więc w teatrze miejskim, widzieliśmy znów „Grube ryby" i wzruszający dramat niemiecki podczas którego — jak twierdzi dyrekcya — zarówno pierś? okryta cienkim surdutem, jak i grubą sukmaną roni łzy rzewne...

Słowem — ta ubiegła niedziela pod względem sławnych, stereotypowych nudów krakowskich, godnie mogła współzawodniczyć z swemi poprzedniczkami...

Kartki z widokiem domu, pamiętnego zgonem A. Mickiewicza w Stambule, wyszły z druku i są wszędzie do nabycia.

Ostatki! Ostatnia sobota w bieżącym karnawale pchnęła w ruch setki nóg, nóżek i nóżeczek, choć nie wszystkie bale udały się tak, jak myślały urządzające je komitety.

III. bal akademicki, tak reklamowany — zawiódł nieco nadzieje komitetu. Zabawa wprawdzie była znakomita, lecz 30 par, to nie 150, jak bywało w zeszłych latach. Kotylion wśród przepięknych efektów świetlnych wywołał ogólny poklask obecnych. Przy ściemnionem świetle płonęło na środku sali zielonym płomieniem ognisko, otoczone dokoła ukostyumowanymi dyablami — a na wirujące pary rzucały reflektory elektryczne tęczowe światła. Karnety pluszowe w kształcie biretów profesorskich — specyalnie na bal ten przez kap. Marka i p. Rippera ułożone tańce, oraz przyjemna atmosfera pozostawiły gościom, jak najmilsze wrażenie.

W „Resursie urzędniczej", która, nawiasem mówiąc, prawdziwe „ostatki" urządza we wtorek, w sobotę i w niedzielę bawiono się nie znakomicie, ale idealnie. Mazur w 72 par, który z werwą i życiem odtańczono w sobotę jest chyba najlepszym dowodem, że na tej zabawie nie próżnowano wcale. Niedzielny kinderbalik niemniej był ochoczy, a bardziej ożywiony, jak poprzednie zabawy tego rodzaju, gdyż wydział „Resursy" był tym razem „ubłagany" i ze względu na nadchodzący post pozwolił przedłużyć go do godziny 12 w nocy.

W „Sokole" także ćwiczono mięśnie w tańcu, do którego naszym druhom nie brak nigdy ochoty, jak to wskazują komunikaty, ogłaszane podczas bieżącego karnawału w wszystkich tutejszych dziennikach.

Na „balu weteranów", który odbył się w sali browaru Johnów, bawiono się chyba nie gorzej, jak w „Czytelni kolejowej", gdzie zabawa kostyumowa zwabiła niejednego i niejedną choćby z prostej, a nie szkodliwej ciekawości.

Sala „Gwiazdy" nie spoczywała także. Miejsca brakło nawet, tak wielką była liczba zwolenników i zwolenniczek Terpsychory, która w ostatnich dwóch wieczorach i w prywatnych domach była uroczyście czczoną!..

Znaczny zapewne dochód musiała przynieść loterya kwiatowa, jaka odbyła się wczoraj w sali hotelu Saskiego, bo sala, co zwłaszcza u nas rzadko się zdarza, była szczelnie zapełnioną, a losy prawie wszystkie rozkupione. Wzbogacą się więc nieco fundusze zakładu św. Józefa dla osieroconych chłopców, a inicyatorom tej miłej rozrywki przyjdzie może chęć urządzenia jeszcze jednej podobnej loteryi, skoro ostatnia cieszyła się takiem powodzeniem.

Rozprawa karna, rozpisana na trzy dni, która miała rozpocząć się dzisiaj przed tutejszą ławą sędziów przysięgłych, została odłożoną *ad acta*, gdyż oskarżony, Franciszek Medwecki, oficyał sądu powiatowego cywilnego w Krakowie, uważał za stosowne umknąć w ostatniej chwili, co nie było dlań znów tak trudnem, bo odpowiadać miał z wolnej stopy.

Akt oskarżenia, obejmujący 46 str. pisma, zarzucał Medweckiemu zbrodnię sprzeniewierzenia, dokonanego przez odlepianie stempli z urzędowych „kawałków", zbrodnię nadużycia władzy i brania łapówek przy załatwianiu spraw bieżących w zakresie jego obowiązków, a wreszcie o nałogowe karciarstwo.

„Czytelnia dla kobiet" pragnąc uczcić jubileusz wielkiego poety czeskiego i przyjaciela Polaków, Jarosława Vrhlicky'ego, zamierza urządzić w lokalu swym (Floryańska l. 32) w czwartek d. 26 bm. wieczorek muzykalno-wokalny połączony z odczytem o tym sympatycznym poecie.

Jeden z „Elsów" prosi nas o „kilka centymetrów kwadratowych" dla słów następujących: Humorystyczna mistyfikacya, będąca treścią kartkowej recenzyi wykładu o „Królu Duchu", została mylnie, lub raczej wcale nie pojętą przez pewne dzienniki, które dopatrują się w niej konfliktu między prof. Lutosławskim, a Elsami. Nie zrozumiano jeszcze, że głupota i małostkowość, te kardynalne *causae efficientes* wszelakiego konfliktu, należą już do historyi w społeczeństwie Elsów, tak różnem od jedynie dostępnego świata dla *niektórych* redaktorów. O *nich* to myślał Słowacki, pisząc:

„O anioły, o anioły,
Czyńcie sobie z *nich* wesoły
Śmiech!..."

Prof. Lutosławskiemu zaś odpowiadam, że dla przenikliwych oczu jego maska nie powinna długo czynić człowieka niepoznawalnym; tymczasem zapewniam go, że złotem rad jego nie gardzę: przyjmuję je od roku bezustannie i ochoczo do skarbczyka duszy mojej na procent składany i kiedyś się spadkobiercom myśli jego uczciwie, czem zdołam — wypłacę. *E. L. S.* (Numer legitymacyi 461).

Topielec. O strasznym jednym fakcie napisać muszę przecie, lecz, że nazwiska wszystkie zachować chcę w sekrecie, nie dziwcie mi się wcale, bo kto to raz przeczyta zrozumie cel dyskrecyi: kpić nie chcę — no, i kwita!

Tam, kędy Wisła dzieli Podgórze od Krakowa, gdzie na Baruchów młyny gazownia patrzy nowa, gdzie wicher z dzikim świstem powietrze wciąż przecina, pod... wielkim, bujnym wąsem, nie duży stał chłopczyna...

Wzrok utkwił w falach rzeki i stał, jak skamieniały, a oczy bez wyrazu coś dziwnie mu błyszczały — i stał tak zadumany i ważył swe namysły, aż nagle drgnął — podskoczył — i rzucił się do Wisły! Skoczyła wnet ratować szaleńca młódź waleczna, przybyła w lot (cud cudów!) już nawet i straż rzeczna — na brzeg go wyciągnięto zmokłego, on zaś dalej, choć go powstrzy-

mywano, chciał skoczyć znów do fali. Tymczasem pan komisarz, wezwany telefonem, z stójkowym i ajentem, otoczon ludzi gronem, jął badać samobójcę, co były za powody, dla których, jak szalony, sam rzucił się do wody.

Niedoszły denat spojrzał, uśmiechnął się dość dziwnie i szepnął: — „Pan komisarz mnie bada zbyt naiwnie, bo cóżbyś pan też zrobił, rzecz biorąc, jak najściślej, gdy zoczyłbyś, jak tonie kapelusz twój już w Wiśle?“...

To stało się onegdaj w miasteczku, co dla braków ma miano w rym z tem słowem i przeto zwie się... Kraków!

Z „Resursy urzędniczej“. Zabawa wtorkowa (przedpopielcowa) rozpocznie się punktualnie o godzinie 7 wieczorem.

Na dorocznem Walnem zgromadzeniu Urzędników prywatnych pow. krak. z dnia 22 bm. obrano prezesem na przeciąg dwu lat p. Feliksa Sierhiejewicza. Ilość członków z końcem roku 1902 wynosiła 63 z udziałem 2400 koron rocznie. Stan kasy przedstawia się 2048 k. 51 h. Zaległości kasowe z roku zeszłego 2,222 kor.

Członkowie uchwalili datki z własnych funduszów administracyjnych: na Bursę im. Borkowskiego 100 k., na fundusz im. dr. Mikulińskiego 50 k. i na gimnazyum polskie w Cieszynie 50 k. Po serdecznej dyskusyi, na temat spraw wspólnie wszystkich obchodzących, przewodniczący zamknął posiedzenie.

Nagła śmierć. Wczoraj wieczorem zawezwane zostało pogotowie ratunkowe na ul. Zwierzyniecką, gdzie zasłabła nagle Marya Ziembińska, lat 57, z Chełmka. Wszelka pomoc okazała się bezskuteczną, chora skonała w przedsionku szpitala. Dr. Koy skonstatował rozedmę płuc i wodną puchlinę.

Kiełbasa na widelec była przyczyną strasznego konfliktu pana Mikołaja S. ze stójkowym, który pełnił wczoraj wieczorem służbę w ulicy Grodzkiej. Otóż pan S. rankiem jeszcze „wdepnął“ do jednej z licznych przy tej ulicy restauracyek na kiełbasę. Podano mu ją na widelcu, ale podano przytem i duże piwo, które przy ogromnem pragnieniu pana S., tak prędko znikło w czeluściach jego przełyku, że wnet musiano mu „naszynkować“ drugie. „Od patyczka do rzemyczka, od rzemyczka do koniczka“ powiada przysłowie, które w tym wypadku należałoby przekształcić „w ten deseń“, że patyczkiem byłaby pierwsza bomba, rzemyczkiem ósma, a koniczkiem szesnasta. Nie dziw więc po takiej libacyi przepłatanej wódzią na złość ustawie przeciw opilstwu, pan S. wstawił się przyzwoicie, a opuściwszy mury gościnnej restauracyi rozpoczął dyskusyę z stójkowym na temat trzeźwości i w zapale argumentowania wszczął spór, który, gdyby nie przechodzący znajomi, byłby go kosztował conajmniej dwanaście godzin aresztu.

„Drużba drużbą, a obraza honoru, obrazą honoru“ powiedział sobie pan Antoni N., któremu rodzice sprawili wczoraj weselisko w własnem pomieszkaniu przy ul. św. Józefa. Powiedział zaś to sobie pan Antoni wówczas, gdy pierwszy drużba pan Marcin Rz. zrobił mu przy narzeczonej jakiś despekt. Że zaś młody małżonek od kawalerskich czasów był przyzwyczajony nie robić „z gęby cholewy“ i na wiatr nie gadać, więc ledwie wypsnęły się mu z ust te słowa, dłoń pochwyciła za kufel i niebawem pogotowie stacyi ratunkowej musiało zaopatrywać i kleić łeb pierwszego drużby, który był na tyle śmiały, że znając czupurność i obraźliwość pana Antoniego pozwolił sobie na jakiś niewczesny żarcik.

Idealnych kradzieży dopuściła się niejaka rzekomo Hermina Guzowska, służąca, licząca lat 48, za którą to policya lwowska rozesłała listy gończe po całym kraju. Podczas ostatniego pobytu we Lwowie, skradła ona swym służbodawcom srebro i złoto stołowe, zegarek z perłami, długi złoty łańcuszek — ogólnej wartości dwa tysiące koron. Policya krakowska przypuszcza, że jest to niejaka Marya Szkabrat, znana złodziejka, która w swoim czasie okradła Barucha na Podgórzu, oraz dopuściła się całego szeregu kradzieży na szkodę 8.000 koron. Po udałym połowie wynajmuje ona sobie zwykle pomieszkanie, przebiera się w eleganckie suknie i bierze do pomocy służącę. W kilka dni znika wraz z cudzą książeczką służbową i zaciąga się do nowego „interesu“.

W bójce. Ubiegłej nocy jeden z stójkowych przyprowadził do pogotowia Stacyi ratunkowej Adolfa Gottlieba, szeregowca 13 pp., który w bójce otrzymał ciężką i niebezpieczną ranę nożem w okolicy gardła.

Broszkę złotą, zgubioną 21 lutego przed południem w ulicy Smoleńsk, można odebrać — naturalnie po udowodnieniu praw własności — w handlu p. M. Jawornickiego, mieszczącym się w domu pod l. 14 przy Rynku głównym.

Zatruł się „eleuteryą“. Onegdaj sługa policyjny zatelefonował po pogotowie ratunkowe do jakiegoś jegomościa, niewiadomego dotychczas nazwiska, który się wprost zatruł alkoholem. Pokaleczoną szpetnie i nieprzytomną ofiarę „eleuteryi“ odstawiono do szpitala.

Z patryotyzmu skradł „ktoś“ znanemu malarzowi, p. Wojciechowi Kossakowi, koce na konie w czarne i żółte pasy.

Nieletni rabusie. Jan Janik, lat 9 i Marya Załęga, lat 19 rodem ze Zwierzyńca, od dłuższego już czasu dopuszczali się licznych, śmiałych swą bezczelnością kieszonkowych kradzieży. Za teren dnia wczorajszego obrali oni sobie jatki dominikańskie... święta niedziela jednak nie przyniosła im połowu, ale za to przeniosła ich wprost „pod Telegraf“.

„Wyżebrał“ srebrny zegarek, wartości 36 kor. — jakiś umierający z głodu podróżny. Zegarek ten był własnością p. Maryi Chrapczyńskiej. Policya zdjęta litością poszukuje nędzarza z zamiarem „odżywienia“.

Mrozy jeszcze nastaną, gdyż jakiś amator sportu łyżwiarskiego włamał się wczoraj w nocy do pawilonu w Parku krakowskim i zabrał stamtąd kilka par butów z łyżwami.

Z teatru. Repertuar obecnego tygodnia ulegnie pewnej zmianie, albowiem, zamiast dramatu „Wieczór Świętojański“ graną będzie we środę popielcową tragedya Słowackiego, „Balladyna“ z p. Wysocką w roli tytułowej.

Nekrologia.

† Dnia 17 b. m. zmarł w Krakowie po długiej i ciężkiej chorobie Karol Brettschneider obywatel m. Bochni — były długoletni radny i naczelnik Straży ogniowej ochotniczej bocheńskiej w 64 roku życia.

Anna z Lexanów Pietrzykowska, wdowa po inżynierze kolejowym, przeżywszy lat 66, po długiej i ciężkiej chorobie, opatrzona św. Sakramentami, zasnęła w Panu dnia 22 lutego b. r. W nieutulonym żalu córka i synowie zapraszają krewnych, przyjaciół, znajomych i pobożną publiczność na obrzęd pogrzebowy, który odbędzie się we wtorek dnia 24 b. m. o godzinie 3 po południu z domu żałoby l. 5 przy ulicy Łaziennej, wprost na miejsce wiecznego spoczynku. Nabożeństwo żałobne odprawionem zostanie we czwartek dnia 26 lutego b. r. o godzinie 8 rano w kościele OO. Reformatów.

Z Podgórza piszą nam: W pięknie udekorowanej sali „Sokoła“ tutejszego, oświetlonej elektrycznem kolorowem światłem, odbyła się wieczornica taneczna. Do pierwszego kadryla stanęło blizko 80 par. Podczas kotyliona, w kole utworzonem przez piękne panie, zjawił się, niezadowolony i dzikie pomruki wydający, prowadzony przez cygana na łańcuchu, niedźwiedź, który wywołał ogólną wesołość swemi sztuczkami. Zabawa nadzwyczaj ochocza przeciągnęła się aż do białego rana do godziny ½8-ej. Piękne karneciki, ręcznie malowane przez druhów amatorów-malarzy, pozostaną miłą pamiątką dla pań, które na wieczornicę przybyły.

List cesarza Wilhelma o Objawieniu. Teolog niemiecki i archeolog, prof. Delitsch, miał w Towarzystwie orjentalistów niemieckich odczyt p. t. „Babel i biblja“. Następnie, zaproszony przez cesarza Wilhelma, dyskutował długo w tej sprawie z cesarzową i superintendentem jeneralnym Dryandrem. Cesarz Wilhelm słuchał dysputy, nie biorąc w niej udziału, a następnie wystosował list otwarty do prezesa Tow. orjentalistów, admirała Hollmanna, w którym daje nauczkę prof. Delitschowi. Przedewszystkiem zwraca uwagę teologa, że to, co można wygłaszać w dziełach, przeznaczonych dla uczonych, niezawsze da się przedstawić popularnie ogółowi. Taka popularyzacya, burzy wiarę w sercach słuchaczów, ogołaca ich ze świętych i drogich skarbów. Po tym wstępie cesarz oświadcza, że wierzy w Objawienie i że, jego zdaniem, Objawienie ujawnia się w sposób dwojaki: ciągły niejako historyczny, i czysto religijny, przygotowujący nadejście Mesyasza. Co do pierwszego, to, według cesarza, nie ulega wątpliwości, że Bóg objawia się ludziom w osobistościach wybitnych, czy to kapłanach, czy mędrcach, czy też królach, tak chrześcijan, jak żydów lub pogan. Do tych osobistości cesarz zalicza ze wspaniałym zaiste spokojem: króla Hammurabiego, współczesnego Abrahamowi prawodawcę babilońskiego, dalej Mojżesza, Abrahama, Homera, Karola Wielkiego, Lutra, Szekspira, Goethego, Kanta i dziadka swego, cesarza Wilhelma I! A gdzie Bismarck, Krupp i Hakatyści?

Niezwykłe powództwo. Charakterystyczną sprawę wytoczyła wdowa po zmarłym niedawno budowniczym odeskim Reichenbergu, znanemu berlińskiemu profesorowi Jansenowi.

Powodem sprawy były następujące okoliczności: Przed niedawnym czasem ś. p.

Reichenberg pojechał się leczyć do Berlina do lecznicy „Marie Victoria", gdzie umieszcza zwykle swych chorych prof. Jansen.

Wkrótce skutkiem niedbalstwa prof. J. Reichenberg zaraził się różą. Choroba ta spowodowała śmierć ś. p. R.

P. R. uważając prof. J. za winnego śmierci męża, wytoczyła przeciwko prof. J. i zarządowi lecznicy sprawę o odszkodowanie w wysokości 100 tys. rb.

P. R. zgromadziła podobno dowody dostatecznie stwierdzające winę prof. J. i zarządu lecznicy.

Zasypany ziemią. W Warszawie na Pradze Starej, zasypany został w studni Szczepan Rzędkowski.

Był on rodzajem rezydenta, rządcy i stróża zarazem na którego głowie było naprawianie wszelkich braków i usterek w chylącej się do upadku ruderze spadkobierców Hreczynów. A że Rzędkowski wiele w swem życiu przeszedł i przecierpiał, był na wozie i pod wozem -- życie nauczyło imać się wszystkiego, co mu tylko zapewniało jaki taki kąt i kawałek chleba. W ostatnich czasach za skromne pożywienie był stolarzem, ślusarzem, mularzem, zdunem, a nawet — jak ostatni wypadek uczy — studniarzem, i to studniarzem wcale niezłym, starą bowiem studnię niejednokrotnie już naprawiał i jakoś zawsze z powodzeniem wywiązywał się z zadania... Ostatni wypadek, tak tragicznie zakończony, spowodowała nie jego nieudolność, lecz nieubłagany tępiciel wszystkiego — czas... Stara cembrowana, zgniła i zbutwiała studnia nie wytrzymała naporu ciężkiej z wilgoci ziemi i runęła na głowę Rzędkowskiego.

W pierwszej chwili powstał popłoch nieopisany śród mieszkańców domu: jedni pobiegli do straży po ratunek, inni do telefonu powiadomić Pogotowie, a inni z narażeniem życia własnoręcznie podążyli z pomocą... Ale walczyć z żywiołem trzeba systematycznie. To też gwałtowna i gorączkowa praca ratujących nie tylko nie odniosła żądnego skutku, ale nawet odwlekała chwilę wydobycia Rzędkowskiego z pod ziemi. Ryta bosakami ziemia osuwała sie w coraz większej ilości, zapadała w jamę...

Tymczasem upływały kwadranse i godziny... Woda którą ziemia na wierzch wycisnęła z wnętrza studni świadczyła, że o uratowaniu Rzędkowskiego mowy nawet być nie może, nieszczęśliwego całkowicie objęła ziemia i woda. Szło więc już tylko o wydobycie jego zwłok, a to tylko mógł przeprowadzić specyalista. W tym celu wezwano majstra studniarskiego, który przy pomocy 9 ludzi wziął się do roboty systematycznej: oczyścił otwór studni, zasypał kanał pierwotny i mając punkt oparcia począł na nowo kopać studnię, wzmacniając jej ściany nową cembrowiną. Po blisko 20-godzinnej pracy, natrafiono na zwłoki Rzędkowskiego, w pozycyi wpół siedzącej wgniecionej w kąt jamy studziennej. Zwłoki wydobyto na linie, obmyto i odwieziono do prosektoryum.

Najsympatyczniejsza kobieta. Wychodzący w Mentonie dziennik angielski „The Menton and Monte-Carlo News" ogłosił ankietę, która z kobiet wybitniejszych, bawiących ostatnio w Monte-Carlo lub Mentonie, jest najsympatyczniejsza. Nagrodę stanowił przedmiot sztuki. *„Who is the lady"?* (Kto jest ta pani?) — widniało w przeciągu kilku tygodni na czele dziennika. Odpowiedzi napływały obficie. Wreszcie obliczono głosy i okazało się, że nagrodę zdobyła... księżna Ludwika toskańska, b. następczyni tronu saskiego.

Konkurs piękności. Przed kilku dniami w Medyolanie urządzony został konkurs piękności. Nagrodą za premiowane wdzięki miała być wyprawa i urządzenie domu. Żywe „okazy" tej niezwykłej wystawy zgromadziły się w sali teatru Dal Vermo. O zwycięstwie miał rozstrzygnąć plebiscyt. A widzowie byli w kłopocie nielada: Wszystkie uczestniczki były ładne, śliczne lub piękne. Jednakową niemal liczbę głosów uzyskały dwie: signorina o rysach klasycznych i bujnie rozwiniętych kształtach i młodziutkie dziewczątko, odznaczające się nietyle regularnością rysów, ile powabem. Pierwsza została odznaczona ponsową, druga różową wstęgą. I zaraz utworzyły się pod ich sztandarem dwa wrogie sobie stronnictwa. Signorina z ponsową kokardą, jako „dobrą pierwszą" (miała o 4 głosy więcej) miano obwozić podczas zapust na tryumfalnym rydwanie po ulicach miasta; na wieść o tem przeciwnicy jej wpadli we wściekłość i zapowiedzieli bunt uliczny, gdyby ten korowód doszedł do skutku. Musiano go zaniechać. — Przy wrzącym temperamencie Włochów konkursy piękności są niebezpieczne.

Cena kobiety. „Revue Mame" ogłasza dokument, który powinien zająć kandydatów do stanu małżeńskiego. Jest to porównawcze zestawienie cen, które w różnych częściach świata płacą za prawowitą żonę. W tym cenniku miłości małżeńskiej Europa nie jest uwzględniona.

To rzecz zrozumiała. — W świecie cywilizowanym muszą teściowie, zamiast otrzymywać pieniądze za córkę, jeszcze coś dopłacać odbiorcy towaru. U dzikich rozgrywa się ta historya jaśniej i prościej i powiedzmy rozumniej, boć glupotą jest kogoś „uszczęśliwiać" swą córką (tak się wyrażają panowie narzeczeni) i jeszcze mu za to płacić.

Otóż w Ugandzie kosztuje dobra żona przeciętnie 4 woły, paczkę nabojów i 6 igieł. Można jednak dostać żonę i tańszym kosztem; podróżnik Wilson naprzykład zapłacił za bardzo ładną żonę tylko parę butów.

U kalifornijskich Karoków żądają rodzice za córkę zwykle pół sznura muszli; gdy jest szczególnie piękną i zręczną i umie przygotowywać chleb z żołędzi, płaci się za nią niekiedy cały sznur.

Kobieta u Kafrów jest stosownie do swego stanowiska towarzyskiego ceniona na 2 do 10 krów.

Za Navaję w Meksyku trzeba już płacić 12 koni.

U Tatarów żona kupowana jest na wagę masła. Teść u Samojedów woli renifery, a indyjscy Kisani są zadowoleni, gdy otrzymują trochę ryżu i rupję.

U Miszmów musi bogaty za żonę zapłacić 20 sztuk bydła, biedak może ją otrzymać za jedną świnię. W Timorze nie można się ożenić, nie mając na zapłatę kłów słonia; u Figijczyków wystarcza ząb wieloryba.

W Unyoro można dostać żonę na kredyt. Teść wydaje jednak żonę dopiero wówczas, gdy ostatnia rata jest zapłacona.

U wielu szczepów w Afryce, Azyi i Ameryce zięć pozostaje w służbie teścia, jak biblijny Jakób u Labana. Żonę odciągają mu stopniowo z pensyi, dopóki nie jest zupełnie zapłacona.

U dzikich w kraju Manzoni można dostać żonę za dwie skóry jelenie; jak wszędzie, tak i tutaj są rozrzutnicy, którzy swe córki wydają za mąż już za pół skóry jeleniej.

Z TEATRU.

(*„Wieczór świętojański" dramat w 5 aktach Karola Schönherra.*)

Czy dyrekcya teatru, silnie reklamując ten dramat Schönherra, była przekonaną, że „Wieczór świętojański" istotnie zasługuje na taką reklamę? Zdaje się — że nie! Sceniczne opracowanie tej sztuki o akcyi monotonnie rozwlekłej, przetkanej epizodami całkiem zbędnymi, zamiast przykuć uwagę widza do sceny, nuży go tylko i wciąż nasuwa mu na myśl pytanie: „Kiedy to się skończy?" Z figur, które przewijają się w dramacie prawie żadna nie jest sympatyczną, prawie żadna nie da się ująć w karby jakichś zasad psychologii, prawie żadna nie powoduje się w czynach logiką, do której zobowiązują ją charakter i przekonania. Wyjątek stanowią postacie trzech radnych, wśród których figura oberżysty jest najlepiej skreśloną, i postać wójta, choć ta właśnie w opracowaniu p. Zelwerowicza mimo hałaśliwości wypadła nader blado.

Treść dramatu wypełnia konflikt między bezrozumną bigoteryą i żyjącą z niej nieuczciwością po jednej, a z hasłami postępu z drugiej strony. Co jest dla autora sympatyczniejsze, czy ta dewocya, czy nowe prądy, trudno osądzić, bo przedstawiciele obu kierunków zamiast pociągnąć ku sobie widza, mogą mu tylko i jedno i drugie obrzydzić. Jedno autor miał na myśli; chciał wskazać, że walka taka przynosi nieszczęście, że krwawymi ślady znaczy swą drogę, bo ostatecznie wynikiem konfliktu jest to, że Marcin Rofner zabija brata. Oto wszystko, co możnaby powiedzieć o dramacie Schönherra, który zresztą pisany jest z wielką znajomością codziennego życia wieśniaków alpejskich.

Bratobójcę grał p. S o s n o w s k i. Cała postać, mowa ruchy, mimika, słowem wszystko było bardzo dobrze obmyślone, a także i wykonane, zwłaszcza w ostatnim akcie gra p. Sosnowskiego musiała na każdym zrobić wrażenie.

Oberżystę-radnego grał p. P r z y b y ł o w i c z i wyzyskał każdy szczegół swej roli, byleby tylko jak najbardziej uplastycznić charakterystykę tej postaci. To samo można powiedzieć o p. K o s i ń s k i m w roli rzeźnika, ale nie wolno odnieść tego niestety do p. B r o n i c z a, który z trzeciego radnego uczynił pozytywkę, wygrywającą bez żadnego uczucia dawno wsławione nuty.

Typowym niemieckim klerykiem, wesołym burszem był p. Pawłowski.

Z ról kobiecych dwie tylko wychodzą na pierwszy plan: rola matki obu braci, która w interpretacyi p. W ó j c i c k i e j wypadła strasznie szaro, i żony Marcina Rofnera, Anki. Ta postać kreowana przez p. Wysocką może być przykładem dla naszych aktorek, że gra niewymuszona, prosta, szczera jest pierwszym warunkiem, do zdobycia zasłużonych oklasków. Po zatem jeszcze jedna mała uwaga pod adresem p. S o k o l i c z ó w n e j. Zdaje się, a właściwie pewnem jest, że młodo scharakteryzowana twarz, wyglądająca z pod siwych włosów staruszki, robi tylko komiczne wrażenie. *(kr.)*

Kącik humorystyczny.

Z „Jednodniówki" balu literackiego w Warszawie.

Między nami nic nie było:
Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych;
Nic nas z sobą nie łączyło,
Prócz — balowych nocy zdradnych;
Prócz uśmiechów, spojrzeń, słówek,
Lżejszych, płochszych od motyli:
Prócz spacerów i wędrówek
Po salonach w takt kadryli;

Prócz nielicznych w tym sezonie
Polek, pełnych animuszu,
Dwóch poślizgnięć w kotylionie
I potrąceń trzech w ratuszu.
Prócz urwanej konwersacyi,
Którą rzadko się kończyło;
Prócz flirtacyi przy kolacyi —
Między nami nic nie było!...
Ign. Baliński.

Rok rocznie bierzesz karnet do ręki,
Rok rocznie wieszcz się wysila
Na nowe piosenki, na nowe dźwięki,
Na nowe loty motyla.
Lecz cóż poecie z tego zostanie?
Nietrwała kartka się skruszy,
W kąt gdzieś rzucona, choć on tam na niej
Położył cząstkę swej duszy.
Kazimierz Gliński.

„One do nas":

Kręćcie nami na balu, ile starczy siły.
Za to gdzieindziej będziemy my wami kręciły.
Jozafat Nowiński.

Aforyzmy Sienkiewicza.

„Kobieta jest jak Wenezuela: nie oddaje tego, co wzięła, i nie lęka się blokady."

„Kobiety umieją być nietylko nadpannami i nadżonami, ale i nad... mężami".

„Hygiena i miłość nigdy nie będą w zgodzie, albowiem pierwsza poleca owoce dojrzałe a druga ich nie znosi".

Podmyśli nad-człowieka

Najszczęśliwsze małżeństwa — są rozwiedzione.

Kobieta wpada naprzód w oko, później w serce, lub — w kieszeń.

W oczach starej panny największą zbrodnię mężczyzna popełnia, jeżeli się żeni — nie z nią.

Miłość jest uczuciem szlachetnem i dlatego lubi się karmić — szlachetnymi metalami.

U zegarmistrza.

Rzecz dzieje się na przedmieściu.

— Dałbym wreszcie dziesięć rubli za ten zegarek — rzecze chłopek — ale czy on tylko dobrze chodzi?

— Chodzi?... Co to chodzi! — odpowiada sprytny żydek — on leci, nie idzie... Patrzcie tylko, jest czwarta, a on szóstą pokazuje!

— Tak, ale...

— Co ale, co?... Nie turbujcie się, za to wam nie każę dopłacić, a zegarek będziecie mieli, co się nazywa.

Współczesna groźba.

— Jeżeli raz jeszcze mnie zgniewasz, to nigdy się z tobą nie rozwiodę!

— „Wus ist?" — „A łycytacye!"...

(Ilustracya na stronicy tytułowej).

Pod jedną z kamienic przy ul. św. Jana, choć to jeszcze wczesny ranek, tłoczy się naród wybrany, a członkowie jego, spieszący za interesami w tę stronę, spoglądają z zadziwieniem na ową ciżbę i rzucają w stronę zbitej, hałaśliwej gromady lakoniczne pytanie.

— Wus ist?...

— A łycytacye! —

„A łycytacye"! „A łycytacye"! taki stereotypowy krzyk przedziera powietrze „A łycytacye" szepcą sobie rozmaite żydy, żydki i żydeczki, pejsate i „europejskie", wśród których prym z wieku i urzędu, dzierży pan Gajer, sławny handeles krakowski, człowiek cieszący się niezwykłą sympatyą akademików i młodych dziennikarzy, choćby z tego powodu, że ni raz za ubranie, kryjące jeszcze nagość członków takiego denata handlu okrężnego daje „forszus" z tem zastrzeżeniem, iż w w oznaczonym terminie szaty przejdą na jego własność.

Bez Gajera ciężkie byłoby życie, bo brak „miałkich" nie jednemu dałby się srodze odczuwać; „swoim chodnikiem" załatwienie takich interesów z Gajerem ma tę dobrą stronę, że zdobywa się niewielki co prawda kredyt na słowo:

— Panie Gajer, ja dziś koniecznie muszę mieć piątkę.

— Żebym taki zdruf buł, co centym nie szmierdzy, ali ja pana dobrodżyje szanuji, ja wim, co pan jezd szlachciczc to ja od drugiego pożyczy, a panu dobrodżyjowi dam piencz korun...

— Panie Gajer, ja muszę mieć dziesięć koron...

— Jaki pan dobrodżyj ma marynarki na sobie? ja panu dobrodżyjowi dam dzeszęcz korun, a pan mi da za mieszonc te marynarki na handel...

— Otworzyły się drzwi hali licytacyjnej. Do wnętrza wpakował się naród wybrany.

„A łycytacye fingt schojn an. Urzędnik licytacyjny z powagę siadł przy swojem biurku; z niemniejszą powagą „chycił" za dzwon (niezatopiony naturalnie) pan woźny, wzniósł do góry wspaniały budzik, który całkiem nowy kosztował 5 koron i stereotypowym głosem wyjęczał:

— Wartość szacunkowa dwie korony. Kto co daje?

— Fufzen heller!

— Sechzen heller!

— Szesnaście groszy! po raz pierwszy... po raz drugi... i po raz trze...

— Achtzen heller!

— Osiemnaście groszy! po raz pierwszy.. po raz drugi... i po raz trze...ci! kupiony. Pan Leibele Schwiegerkucker płaci!...

Przeszły w ten sposób przez ręce woźnego obrazy, przeszło biurko dębowe, przeszła i różnoraka garderoba męska, której dla przyzwoitości po imieniu nazywać nie można i opustoszała hala licytacyjna, a na ulicy ukazały się żydy, żydki i żydeczki objuczone zakupionym towarem...

Wiadomości polityczne.

* Niemiecki Gibraltar bardzo niepokoi prasę rosyjską. U ujść Eufratu i przyszłej drogi żelaznej bagdadzkiej budują się już ogromne forty. Ale ponieważ Turcya nie posiada dostatecznych funduszów, uzbrojenia w olbrzymie działa Kruppa dokonają Prusy i pozostanie ono własnością „zaprzyjaźnionego mocarstwa", t. j. Niemiec. Ekwiwalentem dla Rosyi za ten groźny posterunek niemiecki na dalekim Wschodzie ma być wolny przejazd dla Rosyi przez Dardanele, o który się teraz właśnie z podwójną natarczywością dyplomacya rosyjska dobija.

Telegramy „Kuryera Krakowskiego"

z dnia 23 lutego.

Lwów. Sąd skazał Feliksa Thumena za sprzeniewierzenie kaucyj na pięć miesięcy ciężkiego więzienia.

Lwów. Ks. Mardyrosiewicz opuścił wczoraj o 12 w nocy więzienie, gdzie przesiedział $1^1/_2$ roku za znane nadużycia w Banku Ormiańskim.

Lwów. Z Zaleszczyk donoszą do „Słowa Polskiego", że wczoraj o godzinie 1 w południe wybuchł tam gwałtowny pożar. Podsycany gwałtownym wichrem, spowodował znaczne szkody.

Lwów. Z Doliny donoszą do „Słowa Polskiego: W nocy z soboty na niedzielę wybuchł w Dolinie groźny pożar. Spłonęła połowa przedmieścia i kilka domów na przedmieściu „Zagórze". Ogółem zgorzało około 200 domów.

Lwów. O pożarze w Dolinie donoszą do „Gazety lwowskiej": W nocy z soboty na niedzielę powstał tu pożar, który wkrótce przybrał wielkie rozmiary i wyrządził bardzo znaczne szkody. Ogień powstał w domu niejakiego Rothbauma i zaraz podsycany szalonym wichrem, przeniósł się na domy sąsiednie. Cała ulica, na której stoi dom Rothbauma spalona. — Ogółem spaliło się 160 domów, wśród nich koszary żandarmeryi; 500 rodzin, a 1500 osób bez dachu i chleba. Szkoda wynosi przeszło 400.000 kor. w części tylko ubezpieczonych. Przyczyny pożaru dotąd nie zbadano.

Wiedeń. Z okazyi 25-letniego jubileuszu Ojca św. odprawiono we wszystkich kościołach uroczyste nabożeństwo.

Wiedeń. Kompozytor Hugo Wolf zmarł w tutejszym zakładzie dla obłąkanych.

Wiedeń. Przybył tu podróżnik Svenhedin.

Karlsruh (na Śląsku). Ks. Mikołaj Wirtembergski zmarł tu.

Budapeszt. Węg. biuro koresp. donosi z Wiednia, że Szell był wczoraj u cesarza na prywatnej audyencyi, a popołudniu o wpół do 2 na posłuchaniu u arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.

Wenecya. Armeńskiego publicystę Szpuarana, poranili ubiegłej nocy nieznani sprawcy, strzeliwszy do niego trzy razy z rewolweru. Jak się zdaje była to zemsta polityczna.

Konstantynopol. Jak słychać dzisiejsza Rada gabinetowa będzie roztrząsać program reform przedłożonych przez ambasadorów austro-węg. i rosyjskiego.

Belgrad. Z Macedonii donoszą, że w ostatnich dniach za namową Sarafowa, utworzyło się tam siedm band bułgarskich, liczących po 200 — 300 ludzi, zupełnie dobrze uzbrojonych.

Dzienniki wyrażają ubolewanie z powodu, że z projektu reformy austro-węg. i rosyjskiej wyłączono rozbrojenie Albańczyków, co jest ważną rzeczą dla żywiołu serbskiego.

Digne. Przy wyborach do senatu, zostali wybrani radykali Gassier i Defarge. B. prefekt policyi Andrieux upadł.

Monachium. Dotychczasowy radca stanu w ministerstwie wyznań, Wehner, został zamianowany ministrem wyznań.

Madryt. Na dworcu Alora zderzył się pociąg osobowy z towarowym, przyczem 13 osób zostało pokaleczonych.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca:
Kazimierz Bartoszewicz.

NADESŁANE.

(Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi i Redakcya nie przyjmuje za nią żadnej odpowiedzialności).

Drobne ogłoszenia.

Najpiękniejsze pismo mogą sobie wyrobić tak Panowie jakoteż Panie podług mojej od dawna wypróbowanej metody i to w jaknajkrótszym czasie. Nauka może także być udzielona poza domem. **L. Apel, kaligraf ul. Sebastyana l. 15, parter.** 483 1—3

Dom z ogrodem do wynajęcia zaraz na Półwsiu Zwierzynieckim, Senatorska 50. — Wiadomość ul. Rakowiecka 7. 463 7—10

Potrzeba zdolnej panny do prasowania, do pralni polskiej J. Saneckiej przy ul. Szewskiej l. 9. 476 2—6

Skupuję fortepiany, pianina i fisharmonie używane. Ulica Pańska l. 9, parter, oficyny. 452 6—6

Drobne ogłoszenia przyjmuje Administracya „KURYERA KRAKOWSKIEGO", Karmelicka 7. po cencie (2 grosze) od słowa.

Drukarnia A. Koziańskiego w Krakowie.